

„Liczy się podanie, nie kolor skóry”

KRZYSZTOF JARYMOWICZ

„Rasizm? Zrobiliśmy wszystko, żeby pokazać czerwoną kartkę rasizmowi. Więksi piłkarze niż ja próbowali coś z tym zrobić, ale to wcale nie jest takie proste. (...) Jestem szczęśliwy, że pochodzę z Afryki. Cieszę się, że mogę grać w piłkę, to spełnienie moich marzeń”.

Cytat pochodzi z kwietnia 2011 roku i stanowi komentarz Emmanuela Adebayora, gwiazdy Tottenhamu i reprezentacji Togo, do rasistowskich haseł wykrzykiwanych pod jego adresem podczas meczu Ligi Europy. Problem rasizmu na stadionach nie omija najwybitniejszych piłkarzy i najznamienitszych klubów.

PIŁKARZE

Ibrahima: „Pochodzę z Gwinei. Skończyłem Uniwersytet Warszawski. Dla mnie Polska jest drugim domem”.

Daniel: „Mam 20 lat, pochodzę z Wietnamu. W Polsce jestem od 10 lat”.

Inad: „Urodziłem się w Łodzi, moi rodzice pochodzą z Sudanu”.

Khasan: „Pochodzę z Inguszetii. Jak tu trafiłem? To długa historia, ale mieszkam w Warszawie już 4 lata z żoną i dzieckiem”.

Piotr: „Urodziłem się we Francji, moi rodzice wyemigrowali przed stanem wojennym. Do Polski przyjechałem na studia”.

Ibrahima, Daniel, Inad, Khasan i Piotr grają razem w piłkę. Każdy z nich w jednej z 12 drużyn, które zmierzyły się w turnieju zorganizowanym przez Fundację dla Wolności i Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ” jesienią 2010 roku. Kodjo, kapitan FC Taborowa: „Właściwie to w różnym składzie spotykamy się już 7 lat, a od dwóch rozgrywamy ligę. FC Taborowa? Proszę spytać któregośkolwiek cudzoziemca, co mieści się w Warszawie na Taborowej!” – śmieje się Kodjo, który włączył się zaraz po przyjeździe z Togo do Polski. Zawsze pogodny. Nawet zimą, gdy jako jeden z najwierniejszych kibiców marzył godzinami przy bocznej linii boiska.

OŚRODEK

Poznałem ich wszystkich przypadkiem. Po kilku miesiącach spędzonych za granicą czułem w Warszawie niedosyt. Tam obracałem się w kręgu Marokańczyków, Pakistań-

czyków, Argentyńczyków i Hiszpanów, samemu będąc cudzoziemcem. Czułem się swobodnie, miałem poczucie przynależności do wielokulturowej społeczności, a różnice tylko nas wzbogacały. W Polsce każdy Hindus czy Afrykanin od razu skupiał spojrzenia przechodniów, a słowa „Murzyn” czy „Żyd” funkcjonowały wciąż jako obelgi. Zorganizowaliśmy z przyjaciółmi kampanię „Tiszert dla wolności” – spontaniczną akcję przeciwko antysemityzmowi, ksenofobii, seksizmowi i innym fobiom społecznym. Mieliśmy koszulki z napisami „Jestem gejem”, „Jestem Murzynem”, ale też „Jestem kibicem innej drużyny”. I właśnie mniej więcej wtedy usłyszałem o FARE Action Week – corocznej kampanii na rzecz przeciwdziałania rasizmowi w piłce.

Był październik, nie najlepsza pora do gry. Mimo to uparłem się, żeby zaprosić warszawiaków pochodzących z różnych stron świata na turniej. Nie było żadnego planu. Chodziło tylko o to, żeby się poznać i wspólnie spędzić czas. Zadanie było o tyle trudne, że grant FARE był niewielki (400 euro), a ja nie znalazłem właściwie żadnych imigrantów! Zwróciłem się o pomoc do Urzędu do spraw Cudzoziemców – instytucji, która opiekuje się uchodźcami (punkt przyjęć mieści się na ulicy Taborowej, stąd nazwa drużyny Kodjo). Dostałem zgodę, by odwiedzić zamknięte dla zwykłych śmiertelników ośrodki, w których mieszkają nielegalni imigranci. Pierwsze wrażenie: w drzwiach nadąsany strażnik, na podłodze pogrążonego w mroku korytarza wytarte linoleum. Ludzie stłoczeni w małych pokojach, hałas, płacz. Od razu opadła mnie chmara dzieci, tak że z trudem przedarłem się do kierowniczk. Miałem szczęście, bo trafiłem na Agnieszkę, która zapaliła się do mojego pomysłu. Przez bitą godzinę słuchałem o perspektywach podopiecznych ośrodka, a właściwie o ich braku. Co chwila ktoś wpadał do pokoju, a Agnieszka pytała, czy chce zagrać w piłkę. Czemu nie – padała odpowiedź, ale cudzoziemiec szybko zniknął za drzwiami. Zostawiłem kontakt do siebie i poprosiłem Agnieszkę, żeby zebrała chętnych.



Kiedy odwiedziłem ją miesiąc później, na szafce stał puchar – główna nagroda naszego pierwszego turnieju. Wkrótce rozdzwoniły się telefony od Kameruńczyków, Nigeryjczyków, Kazachów: „Kiedy znowu gramy?” – pytali.

Ten pierwszy turniej to był wielki eksperyment. Pojawili się uchodźcy z Afryki i Czeczenii, uczniowie i absolwenci szkoły przy ulicy Raszyńskiej (która użyczyła nam boiska), znajomi i nieznajomi, w sumie może sto osób. Grant wydałem na buty i jedzenie – Afrykanie chętnie zgodzili się coś ugotować, więc po turnieju zaimprovizowaliśmy mały piknik. Przyszła nawet jedna dziennikarka, a jacyś chłopcy zagrali spontaniczny koncert.

NIEWYGODNI

Najlepiej zapamiętałem Racheal. Nikt nie powiedział tego głośno, ale widać było, że niektórzy nigdy nie grali przeciwko dziewczynie. Unikali kontaktu fizycznego, a Nigeryjka strzelała kolejne gole. Ale w trzecim czy czwartym meczu zaczęła się normalna gra. Patrząc na Racheal, zacząłem dojrzywać do pomysłu, o którym powiedziałem niewiele później w czasie spotkania z Dominikiem – kolegą zaangażowanym w ruch imienia Maribel Dominguez. Maribel to meksykańska piłkarka, która w 2004 roku podpisała kontrakt z drugoligowym męskim klubem Atletico Celaya. Wydarzenie bez precedensu. Ale



FIFA wydała specjalny komunikat, w którym zakazała Maribel gry w Atletico. „Musi być jasny podział na futbol męski i żeński” – czytamy w raporcie FIFA. Kiedy Dominik opowiadał o damsko-męskich sparingach, zrozumiałem, że nie tylko rasizm, ale też seksizm i inne szowinizmy psują sport.

Z premedytacją zacząłem więc zapraszać na kolejne turnieje wszystkich tych, którzy czuli się niewygodnie z powodu swojego pochodzenia, poglądów czy wyglądu. Bo futbol kochają wszyscy: trockiści, lesbijki, czarni i Żydzi. Obserwując wydarzenia na polskich stadionach, gdzie szalały różne odmiany skrajnej prawicy, z coraz większą satysfakcją organizowałem kolejne turnieje dla tych, którzy nie mieli szansy grać gdzie indziej. Dla takich jak Ibrahim, którzy na stadion nigdy pewnie nie pójdą: „Boję się. Może gdybym poszedł, nic by się nie stało, ale nie mam odwagi”.

Piłka ma w sobie coś paradoksalnego. Gra w nią pół świata, jest *lingua franca* naszych czasów. A z drugiej strony, nic tak jak piłka nie kojarzy się z korupcją, burdami i najgorszym ze wszystkich raków – szowinizmem. Podział swój – obcy rządzi tłumami na wielkich stadionach, z trudem udaje się nad nim zapanować dzięki wysiłkom takich organizacji, jak FARE. Emocji nie brakuje też na poziomie amatorskim, ale tu jednocząca moc futbolu bierze górę. Radość ze spotkania i wspólnej gry – ten widok jest naprawdę budujący.

EMOCJE

Na mecze zaczęło zgłaszać się coraz więcej drużyn i weekendowa formuła przestała nam wystarczać. I tak w 2010 roku zrodził się pomysł na Etnoligę. Po pierwsze, powstała właśnie liga. Dzięki regularnym spotkaniom i wspólnym treningom zaczęliśmy lepiej się poznawać. Po drugie, zaproponowaliśmy, by co tydzień inna drużyna była gospodarzem kolejki. Podczas dłuższej przerwy między meczami prezentowała swoją ekipę – ludzi i kulturę, a także przyrządzała poczęstunek. Możliwie naturalnie, bez presji i nękania. Wietnamczycy przygotowali pokaz swojej sztuki, Ibrahim opowiedział o Gwinei i przeprowadził szybki konkurs ze znajomości afrykańskich flag, drużyna z Bródna pokazała zdjęcia z boiska, na którym się poznali. Najwięcej wysiłku włożyli w swoją prezentację Czeczeni – zaprosili nas do nauki swoich tańców i śpiewów.

Te dwie ostatnie drużyny budziły największe emocje. Przed turniejem, gdy kupowaliśmy stroje dla zawodników, FC Bródno poprosiło o zielone – bo kibicują Legii. Na forum stołecznego klubu zrobiło się w pewnym momencie

głośno o tym, że przyjął się „z tymi pedałami”. „No to zmarzwimy niektórych: gramy dalej w Etnolidze!” – powiedzieli dziennikarzowi, który poprosił ich o komentarz. Prawdziwą laurkę wystawiła im Suzi, zasymilowana Włoszka, kapitanka feministycznej drużyny Chrzęszczyki. Powiedziała mi kiedyś: „Wiesz, jak zobaczyłam na początku tatuaże tych chłopaków, to trochę się przstraszyłam. Ale oni są w porządku!” – uśmiechnęła się. W drugiej edycji Chrzęszczyki i Bródno stworzyli wspólny zespół, do którego dołączyło jeszcze kilku Afrykanów. I wygrali. Udowodnili, że różnorodność jest nie tylko fajna, ale że się też opłaca!

PROBLEMY

W pierwszej edycji Chrzęszczyki miały też przygodę z Czeczenami. Gdy namawiałem tych ostatnich do udziału w lidze, nie wierzyli, że mają grać z dziewczynami. W ich kulturze obcej kobiecie nie można nawet dotknąć, a co dopiero przepychać się z nią na boisku! Gdy przyszło do potyczki z Chrzęszczykami, długo nie wychodzili z szatni. Już mieliśmy zapisywać walkowera, gdy wparowali z naręczami kwiatów. Po jednym dla każdej dziewczyny. Suzi i jej koleżanki stały osłupiałe. Teraz baliśmy się ich reakcji. Niepotrzebnie. Na następnej kolejce przyniosły wielki transparent „Wajnach gola!”. Serce nam rosło. Trudno wyobrazić sobie przecież dwa bardziej różne światy: sunniccy górale i feministki. Czy coś ich łączy? Futbol!

Innym razem Wajnach przegrał z Taborową. Uważali, że niesprawiedliwie. Puścili im nerwy, posypali się obelgi, także rasistowskie. Doszło do przepychanek. Zawodników udało się rozdzielić, ale udział Czeczenów w turnieju stał pod znakiem zapytania. Nie tylko Afrykanie chcieli ich wykluczyć. To byłaby porażką całego projektu. Po dłuższej rozmowie daliśmy Wajnachom szansę. Tydzień później gospodarzami była Taborowa. „Idziemy na poczęstunek przygotowany przez Afrykanów: kurczak, kuskus z warzywami, coś jakby leczo z wołowiną. Schodzą się też Czeczeni. Zapada kłępująca cisza. Nagle jeden z piłkarzy Wajnachu zaczyna mówić łamaną polszczyzną. Trzęsą mu się ręce, więc wkłada je do kieszeni. «My nie jesteśmy rasistami» – mówi. Teraz schodzą się wszyscy. Piłkarz mówi dalej: «My są muzułmanie, dla nas wszyscy są równi, nie ma: ja wyżej, ty niżej. To, co się stało, to były nerwy, głupota. Przepraszamy was wszystkich» – Czeczen podchodzi po kolei do zawodników z Afryki i podaje im rękę” – pisał w felietonie obecny tego dnia na Etnolidze dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

W rozwiązaniu problemu pomogła nam utworzona wtedy rada kapitanów. Swoista minidemokracja. Jej istnienie pozwala nam też godzić egalitarny charakter projektu, w którym ważny jest głos każdego uczestnika, z koniecznością sprawnego nim zarządzania.



PLANY

Etnoliga zaczyna wrastać w krajobraz Warszawy. Powstało na jej temat kilka filmów, interesują się nią media, przybywa chętnych do gry. 4 lutego wystartowała kolejna edycja. Zgłosiło się niemal dwustu chętnych, z trudem mogliśmy przyjąć 140. Dzięki finansowaniu z Europejskiego Funduszu na rzecz Uchodźców, Fundacji im. Stefana Batorego, a także – po raz pierwszy – sponsora prywatnego, firmy Orange, rok 2012 zapowiada się wyjątkowo. W marcu wystartuje szkoła piłkarsko-językowa: kolejny eksperyment, którego pomysł opiera się na nauce języka w oparciu o tematy futbolowe. Po zajęciach teoretycznych uczestnicy będą grać w piłkę pod kierunkiem anglojęzycznego trenera. Jeszcze wcześniej wystartują warsztaty dla cudzoziemców: chcemy im pomóc w pokonywaniu przeszkód na drodze do legalizacji pobytu, uruchamianiu własnego biznesu i realizacji własnych pomysłów. Docelowo powstanie portal o Warszawie, wsparcie i kulturze widzianych oczami cudzoziemców.

Weekendowy turniej przekształcił się w spory program integracyjny. Ale ten rok to przede wszystkim Mistrzostwa Europy i futbol pozostaje w centrum także naszej uwagi. W organizacji tegorocznej edycji wspiera nas Program Wolontariatu UEFA Euro 2012. Osoby, które będą pomagać przy tym dużym turnieju, podczas Etnoligi mają okazję zetknąć się z przedstawicielami innych kultur. Zresztą, jak się okazuje, wśród wolontariuszy są nie tylko Polacy, ale i Francuzi, Ukraińcy, Włosi, Turcy czy Egipcjanie. W trzeciej edycji startują też m.in. Haitańscy, którzy dostali stypendia na Uniwersytecie Warszawskim po pamiętnym trzęsieniu ziemi w swojej ojczyźnie. W pierwszym meczu przegrali z połączoną reprezentacją Fundacji „Usłyszeć Afrykę” i My Baobab, ale na kolejne spotkanie zapowiadają mobilizację. Są Czeczeni i Afrykanie pod wodzą Kodjo. Bródno i Chrzęszczyki tym razem występują razem z wolontariuszami Euro. Inter to ekipa Stowarzyszenia Interwencji Prawnej, w której grają też uchodźcy z Inguszetii i Togo. Wprowadziliśmy parytety płci – za wystawienie w meczu dziewczyny, drużyny dostają dodatkowy punkt. I w rezultacie prawie wszystkie mają mieszane składy.

28 kwietnia któraś ekipa odbierze puchary i nagrody, ale tak naprawdę liczy się udział. Tego nauczyłem się przez te lata. I jeszcze tego, że futbol bez podziałów jest czymś prostym i naturalnym. Liczy się podanie, nie kolor skóry. ■

Wszystkie zdjęcia ilustrujące artykuł pochodzą z finału Etnoligi 2010 (Warszawa, 4.12.2010)

